

## Alter ego

„... idee bez życia to szkielety bez ciała”

(M. Quoiist)

Gdy patrzyłam na nią, w jej wnętrzu widziałam siebie- tak samą upartą i wschodzącą istotę. Siedziała naprzeciwko mnie i bawiła się swym małym bączkiem nie zdając sobie sprawy z analiz jakie przeprowadza moja chora głowa. Wszystko syntetyzowało w moim mózgu, zmierzając do uzyskania związku o budowie łańcuchowej, zbudowanego z setek tysięcy myśli powiązanych ze sobą niczym nici genetyczne, które wirowałyby w mojej głowie, rozkodowując kolejne odcinki myśli. Cóż chciałam stworzyć takim dumaniem nad człowiekiem, w którego ciele byłam? Może interesowała mnie jego, a tym samym i moja, natura łowcy, która nakazywała mu łapać wirującego bączka w zaledwie rozpoczętym tańcu i zmaganiach z siłami grawitacji i statyką. A może pociągały mnie jej słonecznikowe oczy, które wpatrzone w zabawkę, przyciągały spokojem i ciszą maconą nieznacznie uderzeniami rzes o podłogę naszego terażniejszego bytu.

W istocie miejsce, w którym tkwiłyśmy zakłete, nie różniłoby się niczym od wesołego miasteczka, albo autostrady gdyby nie ciemności jaki zapadały nam w oczy i gdyby nie brak skaczących koni polnych i rozpędzonych mechanicznych rumaków. A tu tkwiła cisza ciemności zmacona tylko niewielkim refleksem jaki prześwitywał przez zabrudzony witraż nad naszymi głowami, rzucany przez rozpędzony księżyc nocy. Minimalny blask jego tarczy dawał jednak poczucie wzroku i choć musiałam mocno wpatrywać się w małą moją postać, znałam każdą drgawkę cebulki włosa - ich historię dopowiadały mi także moje źrenice, i one również ukazywały mi małe rączki ściskające...

Chociaż miałam analizować myśli tego małego stwora, moja głowa skupiła się na czymś zupełnie dalekim od duszy- na wyglądzie. Pierwsze spojrzenia dotknęły właśnie dłoni- być może dlatego, że są one jednym z tych elementów ciała, które mogą dużo powiedzieć... Stare, pomarszczone, z licznymi odciskami, świadczą o osobie przeszłej, bytującej już tylko na swoich pęcherzach, które powstały na skutek usilnego trzymania się życia- byle jak najdłużej...! Ręce młode, ale również porośnięte bladymi wypustkami, to dłonie popadającego w choroby nieuleczalne, który łapie się resztkami sił za parzący rąbek egzystencji. Dłonie młode i wyraziste należą do człowieka pełnego, wiedzącego o swoich dumach, umiejącego wykorzystać świat. Tacy ludzie popadają w wysokości, a gdy im przystawiają drabinę do góry, na której się wnoszą, nie chcą zejść, boją się nizin- nie wiedzą że na szczycie wieją ukryte wiatry, które zabierają więcej niż dają szczyty.

Wielkość rąk też świadczy zakamarkach umysłu: im większy rozum tym mniejsze ręce. Ale najpiękniejsze są ręce brudne- one nie wstydzą się swojego wyglądu biedy, która nie pozwala im na uzyskanie odrobiny złączonych wodorów i tlenów pływających w jednostce szczęśliwej. Ciało podane mojej obserwacji nie szczyciło się żadnymi z tych dłoni. Jego ręce były dziecinne niedoświadczone w gestach, ale zarazem dorosłe. Z małych końców paluszków wyrastały długie paznokcie powleczone czerwono-krwistym, zaschłym lakierem. Mała potrafiła wbić je w swego

bączka nie łamiąc ich, ale robiąc dziury w drewnianym ciele zabawki wyginającej się w skośne usta dziewczynki o wymarłym uśmiechu. W istocie ona nigdy nie zapuszczała warg łukami ku górze, zawsze płasko albo na dół. To nie były wyrazy grymasów lecz smutku i obojętności muśniętych bezbarwną szminką.

Na uwagę zasługują jeszcze piersi- w tym miejscu jedna połowa ciała należała do dziecka, druga była własnością kobiety. Różnica między tymi połówkami była ogromna. Z jednej strony wylewała się soczysta pierś o brązowym kolorze sutka sterczącego, jakby go przed chwilą ssał zapalczywie rozpalony mężczyzna; falująca jak łódź kształtna muskana lekko pianą z syrenich ust lub kołysząca się jak słoneczniki w stadzie. Z drugiej strony nieznacznie jawiła się różowa brodawka pozbawiona półokrągłego pagórka, z którego mogłaby dumnie spoglądać w krople rosy nawiedzające ją z rana, ona jeszcze nie wpełzła w niczyje zachłanne wargi i nie zasterczała na lodzie-daleko jej do jabłka zwisającego obok, ale cel jest osiągalny...

Każdy element ciała dziewczynki różnił się od tego, jakie tworzą normalne istoty ludzkie. Była jakby posklejana z różnych kawałków dwóch ciał, ale ta dysharmonia w istocie była niezwykle dokładnie skonstruowana-elementy układanki, jaką tworzyło moje podwójne ja, były zgraną jednością Chaos w tym przypadku okazał się niezwykle dobrze uporządkowany: usta w miejscu ust, oczy w miejscu oczu, wszystko w miejscu wszystkiego...

Zatopiłam się w bycie tej małej istoty, jak ona utopiła się bez pamięci w swej zabawce teraz nucąc spokojną melodię. Nuty były smutne jak kropelki deszczu opadające z chmur i z sił, skakały po pięciu równoległych liniach. Medytowała. Zaprzestała zabawy i teraz pogrążona w bezruchu nuciła miękką melodię i wpatrywała się w leżącego na boku bączka wydającego westchnienia śmierci wirowani.

Minęło pół godziny naszego bytu...

Minęła godzina, dwie...

Mantra nut nie ustawała...

Minął dzień, potem drugi i trzeci...

Dalej tkwiłyśmy w tym samym miejscu, w tych samych skamieniałych pozycjach, w tych samych medytacjach... Tkwiłyśmy poza światem i czasem rzeczywistości...

Minęły lata...

Gdzieś na końcu stulecia mantra ustała.

Dziewczynka umarła. Śmierć przepołowionej istoty zakończyła także moją medytację (nie pozostało już nic do rozważania oprócz zamierchłej istoty)... Wstałam, odgarnęłam pajęczyny z włosów i wyszłam- tak zwyczajnie... Zwyczajnie opuściłam swój grób. Był ciemny, ze zwłokami półdziewczynki- tym kim kiedyś byłam i pół- kobiety- tą nią miałam zostać. W porę ocknęłam się z zamierchłości: odeszłam, porzuciłam ją, nie wrócę... Odeszłam w Czas...

Szłam szybko ściskając w swych dłoniach kołaczące serce. Naturalnie, że go tam nie było- nadal tkwiło w moich piersiach, ale nadęte żyły moich ramion i żyłki rąk wybijały się spod skóry

jakby miały moc serca. Szłam coraz szybciej, szybciej i szybciej aż zaczęłam biec. Krajobrazy zmieniały się, a krypta, z której uciekałam była już daleko...

Znicz.

Księżyc, który leciutko wkładał się w ciemności grobu i przebijał zaschły brud witraża był tylko niezapomnianym zniczem- niczym więcej jak tylko litością nad nieobecnym...